

INFERNO
TOM TRZECI

SINNER

JULIA BRYLEWSKA



Copyright © 2024
Julia Brylewska
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Anna Strączyńska

Korekta:

Agnieszka Sajdyk

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-403-7

JULIA BRYLEWSKA

SINNER

INFERNO #3

OŚWIĘCIM 2024

„Najgorsze, co może spotkać człowieka, to żyć i umrzeć w samotności,
nie kochając i nie będąc kochanym”.

Paulo Coelho, *Największy dar*

Prolog

Alfie Meyer często pakował się w kłopoty. Miał to we krwi, zupełnie jakby przy narodzinach sam diabeł nadał mu to piętno. Może właśnie takie było jego przeznaczenie – aby niszczyć i ostatecznie samemu zostać zniszczonym?

Myślał o tym, gdy przeskoczył przez płot oddzielający dom dziecka od ogromnej posiadłości Sharmanów. Kiedyś byli dla niego niczym rodzina, której nigdy nie posiadał. Teraz tamte czasy wydawały się już jednak zbyt odległe, by chłopak mógł je pamiętać. Nic, co było piękne, nie mogło zbyt długo się przy nim uchować.

Znał ten ogród tak dobrze, że nawet w gęstej ciemności nocy potrafił bez trudu się w nim poruszać. Dotarł do jednego z trzech wysokich drzew, po czym wspiął się na nie i ukrył burzę białych włosów pomiędzy liśćmi. Rozsiadł się wygodnie na gałęzi, a następnie wyjął z kieszeni kurtki paczkę papierosów.

W całym swoim siedemnastoletnim życiu zrobił wiele paskudnych rzeczy, ale nigdy wcześniej nie palił. Cóż, przynajmniej do momentu, w którym Mikael Sharman nie stanął na jego drodze i nie skradł jego zepsutego, pustego serca do tego stopnia, że Alfie był gotów popaść w kolejne uzależnienie, byle tylko znaleźć choć jedną łączącą ich rzecz. Nie zakochał się w nim od razu albo może właściwie nie wiedział, że to, co poczuł, kiedy po raz pierwszy go spotkał, było miłością.

Alfie nigdy nie kochał i nie był kochany. Rodzice porzucili go jak bezpańskiego psa, który okazał się nie dość ładny, aby posłużyć za domowe zwierzątko, a dzieciaki z sierocińca nie pałały do niego sympatią, podobnie jak opiekunki, które zazwyczaj zacho-

wywały się tak, jakby chłopak w ogóle nie istniał. Przynajmniej do momentu, w którym znowu nie wpakował się w jakieś kłopoty.

Wszyscy spisali go na straty, jakby nie był wart choć odrobiny wiary. Może w gruncie rzeczy wcale się w tej kwestii nie pomylili?

Odpalił papierosa, zaciągnął się dymem, a potem odwrócił głowę i spojrzął na jezioro. W czarnej tafli odbijał się biały księżyc. Jego blask oświetlał dwie twarze, które dla innych mogły wydawać się takie same, ale dla niego zawsze były zupełnie inne.

Bracia Sharman wbrew pozorom bardzo się od siebie różnili, choć ich wygląd czasami sprawiał, że ludzie nie umieli ich rozróżnić. Alfie nawet w tej ciemności był w stanie tego dokonać.

Nie chodziło tylko o fakt, że Victor szczerze go nienawdził, a Mikael był jedyną stąpającą po tym świecie osobą, która pokładała w nim marną cząstkę wiary, na jaką z całą pewnością nie zasłużył.

Przez jego spięte mięśnie przebiegł nieprzyjemny dreszcz. Istniało wiele rzeczy, których się obawiał, ale widok czarnej wody wyglądającej tak, jakby kryła pod sobą całe zło tego świata, przez co wzbudzał w nim niewytłumaczalny strach. Dlatego nie mógł podejść bliżej, nawet gdyby tego pragnął.

Obserwował ich uważnie, gdy dopłynęli łódką na sam środek zarośniętego jeziora. Nie był podglądaczem, ale rodzina Sharmanów znieawdziła go do tego stopnia, że jego spotkania z Mikaelem stały się bardzo utrudnione. Nie był już mile widziany w ich domu. Niekiedy zakradał się więc do ogrodu i obserwował go z ukrycia, aby choć przez moment nie czuć się na tym świecie zupełnie samotnym.

Alfie lubił te chwile, mimo że nigdy nie trwały zbyt długo i nie mogły zaspokoić jego serca na dłużej niż kilka godzin. Nie chciał zakochać się w jednym z braci i gdyby mógł cofnąć czas, zrobiłby wszystko, by sobie na to nie pozwolić.

Miłość była kosztownością, na którą nie było stać ludzi takich jak on, a Mikael Sharman był kimś poza jego zasięgiem. Alfie

był przecież tylko smutnym, zagubionym dzieciakiem. Bez rodziny i z raczej marną przyszłością, a ktoś, kto nosił nazwisko Sharman, od urodzenia miał zapewnione życie złotego dziecka. Człowieka, za którym sukces kroczył każdego dnia. Czerpał więc z tych chwil tyle, ile tylko mógł. Nawet jeżeli były ulotne i wyjątkowo marne.

Jego relacja z rodziną Sharmanów nie zawsze wyglądała w taki sposób. Gdy jako kilkuletni chłopiec uciekł z sierocińca, a potem schował się w pokoju jednego z braci, Victor krył go przez kilka dni, przynosił mu jedzenie i dał swoje ubrania. W domu dziecka nie mógł liczyć na nic więcej, niż za duży T-shirt i krótkie spodenki. Był jego pierwszym, prawdziwym przyjacielem, a także tym, którego najwcześniej stracił. Flora i Arthur Sharmanowie obdarzyli go miłością, na którą nie zasłużył i której nie potrafił odwzajemnić, ponieważ nikt nie nauczył go, jak powinno się kochać. A przynajmniej nie we właściwy sposób.

Później ich zdradził. Najpierw sprowadził ich ukochanego syna na złą drogę, a potem ich okradł, by zdobyć choć trochę pieniędzy, które wydał głównie na alkohol i używki. Alfie Meyer urodził się po to, by niszczyć. Miał to w naturze i nawet gdyby próbował, nie potrafiłby się tego pozbyć. Ostatecznie postanowił więc pogodzić się z tym, że w historii rodziny Sharmanów to właśnie on był czarnym charakterem.

Dopalił papierosa, zgasił go w wilgotnym konarze drzewa i jeszcze raz spojrzął w kierunku jeziora. Przełknął z trudem, dostrzegając na twarzy Mikaela szeroki, pełen radości uśmiech. Jego śmiech rozniósł się echem po ogrodzie i wprawił serce chłopaka w nieco szybszy, pełen tęsknoty i bólu rytm.

Pierwsze krople deszczu spadły na policzki Alfiego, wyrывая go z chwilowego zamyślenia. Uniósł głowę i dostrzegł na niebie ciemne burzowe chmury zwiastujące nadciągającą ulewę.

Była to jedna z tych chwil, która właśnie bezpowrotnie minęła, pozostawiając po sobie pustkę i dziwne przecucie, że coś podobnego nigdy więcej się nie wydarzy.

Już miał zeskoczyć z drzewa na miękką trawę, lecz usłyszał chlupot wody. Zamarł z jedną dłonią wspartą na konarze, a drugą na własnym kolanie. Odwrócił się na moment przed tym, jak z nieba spadł gromki deszcz, a nad jego głową rozbrzmiał pierwszy grzmot rozpoczynającej się burzy.

Na łódce pozostał już tylko jeden z braci.

Rozdział 1

Smętna melodia *Bohemian Rhapsody* docierała do niej jak przez mgłę. Słowa były jednak na tyle wyraźne, by zdołała rozpoznać głos Freddiego Mercury'ego, który przy akompaniamencie pianina śpiewał o szansie na szczęśliwe życie, jaką zaprzepaścił, gdy zabił człowieka.

Powoli rozchyliła spierzchnięte wargi. Ból zaatakował jej skronie i promieniował przez całą długość kręgosłupa, sięgając nawet palców u stóp. Jęknęła, nie mając odwagi, by unieść powieki. Kiedy przełknęła ślinę, metaliczny posmak krwi wypełnił jej usta.

– Victorze. – Z jej gardła uciekł słaby, zachrypnięty szept. Otepiały umysł nie był w stanie zatrzymać słów.

Odpowiedział jej jedynie Freddie Mercury, który zakończył kultową piosenkę słynnym: *Nothing really matters*. Kilka sekund później ciszę na nowo wypełniły pierwsze nuty utworu.

Hailey miała nadzieję, że to wszystko było jedynie koszmarem, z którego niebawem się zbudzi. Z jej piersi wyrwał się szloch. Gorące łzy spływały jej po policzkach, a ciało co chwilę przesywał tak ostry ból, że z trudem mogła wziąć kolejny oddech.

Dopiero po dłuższym czasie uniosła powieki, lecz szybko ponownie je zacisnęła. Ostry blask reflektorów uderzył w nią z siłą, która sprawiła, że jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Gwałtownie odchyliła głowę, przez co uderzyła potylicą o zagłówek fotela. Przygryzła mocno dolną wargę, przygotowując się na ból, który przeszył jej kark, a potem powędrował przez spięte mięśnie brzucha, barków i ramion.

Powoli poruszyła palcami u rąk. Poczwała pod nimi miękkie materiały poduszki powietrznej oraz kawałki szkła, które rozciąły jej skórę. Starła się policzyć w myślach do trzech i zebrać resztki siły, ale wydawało się, że za każdym razem, gdy próbowała się skupić, przeklęty Freddie Mercury podnosił ton głosu.

– Zamknij się – syknęła. Była zbyt otępiała, by pojąć, że kierowała słowa do głosu z radia, który nie był w stanie udzielić jej odpowiedzi ani nawet jej usłyszeć. Ból w skroniach był nie do zniesienia. Natrętne myśli nie dawały jej spokoju i nie pozwalały się skupić.

Otworzyła powieki na dłużej dopiero przy refrenie. Pierwszym, co ujrzała, były jej stopy zasypane szkłem pochodzącym z przedniej szyby czarnego mercedesa.

– Vi... – Urwała, gdy po odwróceniu głowy dostrzegła puste miejsce. Jej ramiona się zatrzęsły, a gardło opuścił przeciągły jęk.

Zamknęła oczy. *To tylko koszmar. Wkrótce się z niego obudzisz i wszystko będzie w porządku.* Tylko to rozbrzmiewało jej teraz w myślach.

Drżącą dłonią rozpięła pas bezpieczeństwa, po czym uniosła powieki i się rozejrzała. *Bohemian Rhapsody* nie rozbrzmiewało z samochodu, w którym się znajdowała, a z wnętrza białej furgonetki. To jej reflektory zaatakowały ją zaraz po tym, jak odżyła przytomność. Piosenka dobiegła końca, a potem na nowo zakłóciła ciszę panującą na martwej drodze.

Hailey przełknęła ślinę, a następnie skrzywiła się, kiedy krew ponownie wypełniła jej usta. Zamrugła, starając się przyzwyczaić wzrok do blasku świateł samochodowych. Każdy bodziec odczuwała ze zdwojoną siłą.

Właśnie wtedy go dostrzegła. Victor leżał na mokrym, błyszczącym od kawałków szkła, asfalcie. Jego twarz była zwrócona w kierunku czarnego nieba, a jego klatka piersiowa się nie unosiła.

– Nie! – wyrwało się z jej gardła, ale głos miała wciąż tak słaby, że ledwie mogła usłyszeć własne słowa.

Kiedy dziewczyna wstała, przytrzymując się otwartych drzwi auta, odłamki szyby posypały się na ziemię. Pozbyła się szpilek i postawiła krok, ignorując leżące na drodze szkło. Nogi odmówiły jej jednak posłuszeństwa, a ciało ponownie przeszył ostry ból.

Upadła na mokrą od śniegu drogę. Fragmenty szkła wbiły się w skórę jej dłoni. Wypluła krew, która ponownie wypełniła jej usta. Miała tak ciemny kolor, że wydawała się niemal czarna.

– Nie – szepnęła, czując, że ponownie zaczynała tracić przytomność. Mocniej przycisnęła ręce do chropowatego asfaltu. Gdy szkło wbiło się w jej dłoń, ból na moment otrzeźwił myśli.

Zdołała wstać, przytrzymując się karoserii. Uniosła głowę, mrużąc oczy. Od Victora dzieliło ją pięć lub sześć metrów. Teraz ta odległość zdawała się niemożliwie duża. Jakimś cudem zdołała zebrać w sobie resztki sił, zignorować ból i powoli ruszyć przed siebie. Każdy krok kosztował ją tak wiele wysiłku, że co chwilę odnosiła wrażenie, jakby znów miała utracić świadomość.

Upadła zaledwie metr przed mężczyzną. Resztę drogi pokonała na kolanach, nie zważając na szklane odłamki, które przy każdym ruchu boleśnie raniły skórę.

Zespół Queen ponownie zaczął grać tę samą piosenkę. Hailey nie była pewna, który to już raz – czwarty czy szósty. Zrozumiała, że wydostanie się z mercedesa i dotarcie do Sharmana zajęło jej ponad dwadzieścia minut. Wydawało się, że czas płynął własnym torem w jakiś pokręcony sposób.

– Proszę – szepnęła, gdy w końcu do niego dotarła. Chwyliła jego twarz drżącymi, brudnymi od krwi dłońmi.

Oddychał. Bardzo wolno i słabo, ale oddychał.

– Jestem tutaj – zapewniła, choć nie sądziła, by słyszał jej głos.
 – Wszystko będzie dobrze. Obiecuję, tylko proszę, zostań ze mną... – załkała, odsuwając ręce. Na jego bladej skórze pozostały ślady jej krwi. – Muszę tylko... – Rozejrzała się, a jej wzrok spoczął na białej furgonetce. – Zaraz wrócę – rzuciła przez ramię.

Z trudem wstała. Starła się pokonać drogę do samochodu Victora szybciej niż za pierwszym razem. Pod jednym z siedzeń odnalazła swój telefon. Ekran na moment rozbliśnieł, po czym zgąśł. Przednia szybka była doszczętnie zbita.

Jęknęła, odrzucając urządzenie na bok. Nie udało jej się znaleźć telefonu, który należał do Sharmana. Okrążyła mercedesa i zajrzała do wnętrza furgonetki, która nie była tak bardzo zniszczona jak auto, którym jechali. Nie dopatrzyła się większych szkód prócz wgniecenia.

Wnętrze samochodu było puste. Z radia wciąż płynęły dźwięki tej samej melodii. Hailey nie odnalazła niczego, dzięki czemu mogłaby sprowadzić pomoc, wróciła więc do Victora.

– Przepraszam – szepnęła płacząco. – Tak bardzo cię przepraszam... – Jej wargi zdrząły, kiedy pochyliła się i przycisnęła je do zakrwawionego czoła mężczyzny.

Odsunęła się, a wtedy dostrzegła na jego skórze kilka własnych łez, które niepostrzeżenie spłynęły po policzkach.

Nie mogła sprowadzić pomocy. Znajdowali się na jednej z dróg za miastem. Z obu stron otaczał ich gęsty las. Nawet gdyby spróbowała udać się do najbliższej stacji benzynowej, straciłaby przytomność po zaledwie kilku metrach. Mogła jedynie przy nim zostać.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła, kładąc głowę na jego słabo unoszącej się i opadającej piersi. Czuła bicie serca Victora. Było wolne. Coraz wolniejsze. – To tylko sen. – Pozwoliła, żeby jej powieki opadły. Była zbyt słaba, aby temu zapobiec, choć wiedziała, że powinna zachować przytomność tak długo, jak było to możliwe. – Zaraz się z niego obudzimy i wszystko będzie jak dawniej... – Jej głos stracił na sile i przerodził się w bełkotliwy szept.

Dłoń dziewczyny zsunęła się bezwładnie, po czym uderzyła o twardą powierzchnię drogi. Krew ponownie wypełniła jej usta, a metaliczny smak sprawił, że jęknęła.

Ogarnęło ją tak wielkie zmęczenie, że ból zszedł na drugi plan. Wsłuchiwała się w bicie serce Victora, w jego wolny oddech, czując, że staje się coraz słabsza. Nawet jeżeli wiedziała, że nie powinna się poddawać, nie była w stanie unieść powiek.

– To tylko sen – szepnęła. Nie zdobyła się na nic więcej. Nawet wypowiedzenie krótkiego słowa kosztowało ją wiele sił. Poczowała ogarniający ją spokój, zupełnie jakby sen wyłonił się zza rogu i w końcu ją odnalazł. – Zaraz się obudzimy...